

dodatek • ABC • niedzielny

Dr. Jadwiga Stermecka

W słońcu, kwiatkach i brudzie

(Korespondencja własna z Chin)

Polska lekarka w Chinach, dr. Jadwiga Stermecka, nadesłała nam niezwykle ciekawe reportaże o życiu Chinczyków, z którymi stykała się w czasie swej pracy. Pierwszy reportaż zamieszczamy.

Chiny to bezspornie kraj o jednej z najstarszych kultur świata, zamknięty jednak za prawdziwie chińskim murem moralnym, materialnym i intelektualnym przez długie wieki aż dotąd.

Higiena to pojęcie znane w kołach zmodernizowanej młodzieży chińskiej tylko z angielskiego brzmienia. Dotąd jednak w masach, a nawet w sferach hołdujących postępowi europejskiemu, w życiu praktycznym żyje się wbrew tej higienie. Fakt ten wypływa z prastarych zwyczajów, dotąd kulturowanych.

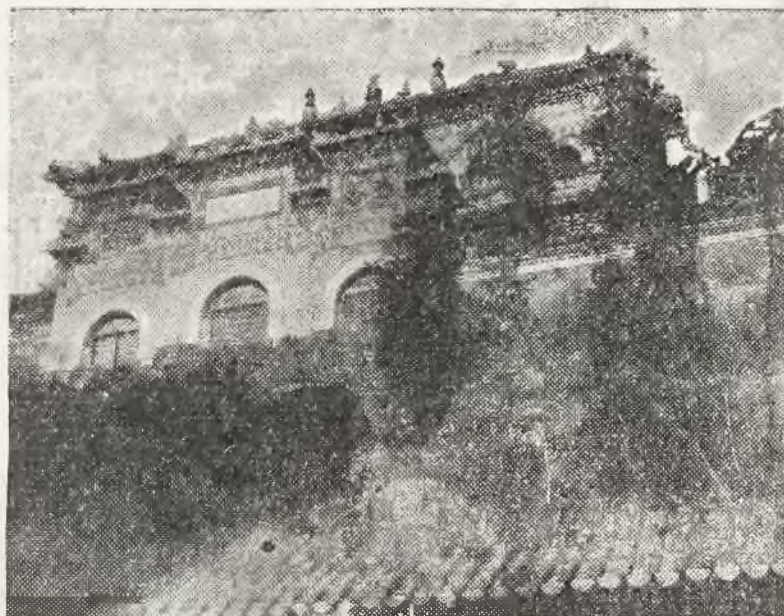
W KWIATKACH I... BRUDZIE

Przypatrzmy się bliżej kolebce tradycyjnych zwyczajów chińskich — domowi chińczykowi.

Prawdziwą zaletą budownictwa w Chinach jest to, że żaden z do-

mów nie ma nigdy okien zwróconych ku północy: sprzeciwiałyby się to wierzeniom, nawet w naj-

wraz z drzwiami całą ścianę frontową i osłonięte są misterną kratą z bambusowych patyczków.



Pekin

uboższych lepiankach okna wychodzą na południe. Zajmują one

Okna te i drzwi są, z wyjątkiem nocy, stale otwarte zimą i latem.

Słońca więc i światła jest dosyć.

Domy ludzi zamożniejszych to zwykle kompleks budynków parterowych. W dziedzińcu wewnętrznym, czworobocznym, zwykle zieleni się ogródek. Jest to druga zaleta domu chińskiego. Tam, gdzie brak pieniędzy na prawdziwy ogród, improwizują mały sztuczny ogródek, złożony z kilku drzewek w dużych wazonach, karłowatych sosenek, dziwacznie wykręcanych i kwitnących drzewek granatu lub palmy.

Ale jakże wygląda wnętrze domu, tonącego w słońcu i w kwiatkach? Tu niestety spotykamy co krok dowody braku higieny i wszelkiego dla niej zrozumienia.

GOŚĆ WE WSPÓLNYM ŁOŻU

W mieszkaniu są tylko sprzęty niezbędne. Poza stołami, wszędzie znajduje się t. zw. k'han, zastępujący łóżko. Jest to podmurowanie wysokości pół metra, szerokie na 2 metry, które sięga od ściany do ściany i zaj-

muje mniej więcej jedną trzecią największej sali domu. Pod nim przeprowadzony jest piec - kaloryfer. Powierzchnia k'hanu pokryta jest cienką słomianą matą, na niej zamiast poduszek — kilka wałków napełnionych piaskiem, pokrytych wierzchnią materią.

Na tym podmurowaniu układa się do snu cała rodzina chińska od dziadka do wnuka. W razie przybycia gości, zaprasza się ich również na owo wspólne łożo. Bieleżni pościelowej nie używają. Chińczycy wcale, przykrywają się koldrami, które cały dzień leżą w kącie k'hanu.

Zwyczaj udawania się na spoczynek całych rodów chińskich na jednym k'hanie jest wprawdzie bardzo patriarchalny, nie mniej dla Europejczyka jest on mocno niepokojący. Wśród członków rodziny chińskiej na pewno bowiem znajduje się jeden lub więcej wypadków przewlekłej choroby zakaźnej, np. gruźlicy płuc lub jaglicy.

Z UST DO UST

W czasie posiłków zbierają się wszyscy na k'hanie lub rzadziej przy okrągłym stole i jedzą z malutkich talerzyków, nabierając sobie pałeczkami t. zw. kua-idzy

ny z gotowanym i pieczonym mięsem, wołowym, baraniną i wieprzowym, które leży w kawałkach, pokrytych rojem much. Nie odstrasza to jednak przechodniów. Biorą one smakowite mięsiska do ręki, oglądają, próbują, potem często odkładają na bok, nie kując i zostawiając dla kogo innego.

Jeszcze bardziej odrażającym dla Europejczyka jest widok chłopców ulicznych, których ręce i twarze pokryte są nieraz wrzodami i krostami. Chłopcy ci roznoszą z wielką usługowością tace z potrawami i lakoćkami.

EPIDEMIA

"ZESŁANA Z NIEBA"

Są to jednak obrazy sielskie i lagodne. W porównaniu z tym, co widuje się podczas chronicznie występujących klęsk: powodzi, głodu i epidemii.

Olbrzymie rzeki chińskie, w porównaniu z którymi europejskie wyglądają jak strumyki, nie są dotąd uregulowane. Wylew rzeki Jang - Tse - Kiang zdarza się co kilka lat, a wówczas tłumy ludzi pozbawione dachu nad głową, środków do życia, opuszczają nawiedzone obszary i wędrują gromadnie w poszukiwaniu chleba na

Maria Rutkowska

Polski eksperyment filmowy na Biennale

Reż. Gantkowski szuka nowych form

W atelier Falangi panuje żar tropikalny. Na czas zdjęć zamknięte szczelnie drzwi i wentylatory nie przepuszczają z zewnątrz żadnego niepotrzebnego dźwięku ani świeżego powietrza. Wielkie reflektory biją w oczy oślepiającym blaskiem i zicią gorącym.

Po małej scenie hotelowego pokoju kręci się spocyny Kurnakowicz i wykrzywna jak nieboskie stworzenie Żeliska. Całe szczęście, że właśnie rola każe im także pocić się i krzywić, bo



Reżyser Gantkowski

wywoływaniu w tych warunkach rozkoszować uśmiechu miałyby w sobie coś z niąk Tantala.

— Nie łatwo być gwiazdą — wzdycha żałośnie pod maską szminki pewien znajomy aplikant adwokacki, przyspasabiający się na „gwiazdora”. — Czekam 5 godzin na swoją kolejkę do zdjęć...

Kurnakowicz tymczasem i Żeliska już poraz ósmy wybiegają z dwóch stron na scenę. Chodzi o to, że muszą się zderzyć, nie patrząc na siebie i, nie mogą tracić. Cóż za pech! Aparat goni za nimi pracowitym okiem. Wścibski mikrofon zwiesza się nad głowami, jak studzienny żóraw, łowiąc dźwięki. Co chwilę słychać trzask nowego „klapsa”, numerującego filmowane sceny.

— Wesola komedia z Kurnakowiczem, którą kręcimy — tłumaczy mi p. Szwarc, asystent reż. Gantkowskiego — jest pierwszy

częścią cyklu krótkometrażówek Pata, w których będą rozwijać się przygody p. Piorunkiewicza, jego córki i brodatego tajemniczego demona (Grabowski chodzi właśnie koło nas, ustrojony w brodę od południa i nie wiadomo czy do wieczora doczeka się swojej sceny). W tych wesołych historyjkach będziemy mogli jednocześnie zamykać pewną tendencję: bądź satyrę na jakąś instytucję, czy zwyczaj, bądź propagandę.

— Jest to więc znowu mały eksperyment?

— Zapewne. Reż. Gantkowski lubi szukać nowych dróg i form. Oczywiście na inną zupełnie skalę jest jego eksperyment z Solskim.

Właśnie o to mi chodzi. O tym eksperymencie chciałabym porozmawiać z reżyserem Gantkowskim. W tej chwili jednak kieruje zdjęciami. Kurnakowicz spieszy się do teatru.

— Cicho! — na krótką komendę reżysera milkną wszystkie szmery. Badawczym wzrokiem obrzuca całe atelier i ręką daje znak.

— Gotowe!

— Pracownicy Falangi — mówi mi w przerwie jeden ze współpracowników reż. Gantkowskiego — dziwią się zawsze sprawności naszej roboty. Żydzi, wynajmujący nas wszystkich, wyprowadzają tu podobno zamęt nie do opisania.

— Koniec — słyszę znowu głos reżysera. — O godzinie 11 zaczynamy znowu. — Wymęczony, spotał pod szminką tłum wysypuje się przez drzwi, otwarte w tej chwili szeroko.

— Jakto o 11 g.? — pytam ze zdumieniem reż. Gantkowskiego. — Jeszcze dziś?

— Tak. Jutro przychodzi inny producent. Będziemy pracować całą noc.

— Ależ to niesłychanie męczące.

— Zapewne — odpowiada. Ale w błysku czarnych oczu, w energicznym uścisku dłoni, jakim mię wita, nie znać zmęczenia.

— Świeżo otrzymana nagroda „Wiarusa” przyniosła panu zadowolenie?

— O, tak. „Płomienne serca” tworzyłem całym swoim sercem. I właśnie wyraz uznania, wdzięczności, ze strony wojskowych sprawił mi prawdziwą radość.

— A jak przewiduje pan przyjęcie filmu z Solskim?

— Zobaczymy. Jest to pierwszy tego rodzaju eksperyment filmowy w świecie, dlatego wysyłamy go na Biennale. Cykl Solskiego, do którego speakerkę przygotował Grzymała Siedlecki może być przyjęty dobrze nie tylko u nas. Solski przeszedł wszystkie nasze oczekiwania. Skala jego talentu jest przecież olbrzymia. Stworzył tak diametralnie różne typy jak Horsztyński, Judasz, pan Jowialski, jak Fryderyk Wielki i cały szereg innych wspaniałych, na to trzeba być artystą genialnym. Obawiałem się jednak, przystępując do pracy, czy film odda wszystkie walory gry. Solski grał pierwszy raz do filmu dźwiękowego. Aparat chwycił wszystko. Jego mimikę, jego śmiech i prawdziwy szloch. Film

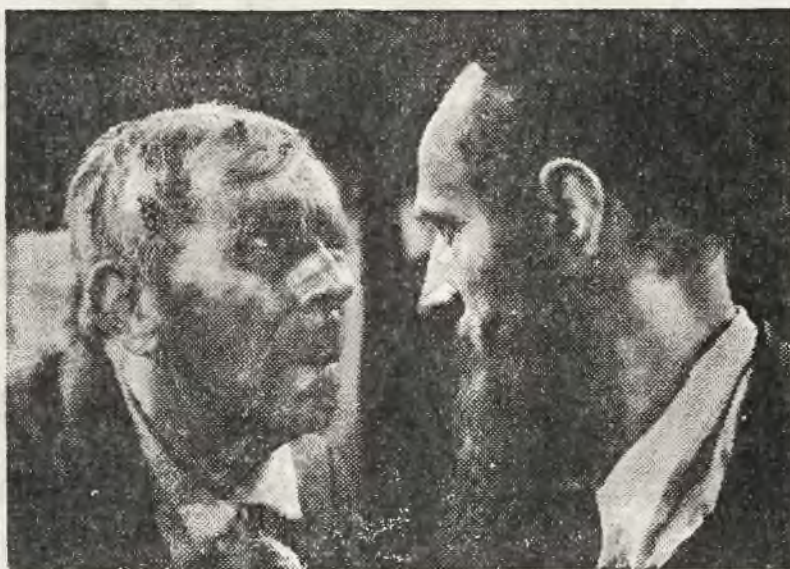
wana jest przy zdjęciach na fragmenty o różnych nastrojach. A wszędzie trzeba włączyć „ten pierwszy bieg”, i to po kilka razy.

— Kto występuje obok Solskiego?

— Brydziński, Socha, Ciecierski, Hnydziński, Węgrzyn, Baraszewska, Żeliska, Angel - Engelówna i cały szereg innych, najlepszych. Film daje nie tylko obrazy samej sceny. Akcją ze sceną związane są kulisy i widownia. Tym żywsze, bardziej bezpośrednie stają się obrazy.

— Film początkowo, zdaje się, miał być krótkometrażówką?

— Tak. Budżet początkowy był 8 tys. zł. Potem już zdecydowano się na średniometrażówkę. A wreszcie zrobiliśmy to, co chciałem. Musiałem osiągnąć to „niezłoty podstęp”. Wiedziałem, że inni także, w czasie pracy nabitą do niej zapatu. Wystarczyło głodnemu dać kęs chleba. Nie wytrzyma i zje resztę — mówi z uśmiechem reż. Gantkowski.



Solski i Ciecierski w „Niespodziance”

ma chwile tak mocne, jak mocny jest sam Solski. Niech pan pomyśli, tu w tych warunkach wytrzymać tak znakomicie, jak on to potrafił w jego wieku pracę przy filmowaniu. Kiedy trzeba było powtarzać sceny gdzie nie tak jak w teatrze akcja por-

— Jakże inne projekty ma pan obecnie?

— Niedługo podróż filmowa do Palestyny, może do Egiptu. Potem Biennale. Urlop. Duży nowy film i może Ameryka.

— Plany bogate.

— Ciągłe coś nowego. To przecież nasz cel i znak naszej pracy.



Rodzina chińska na k'hanie

z większych talerzy i półmisek. Te same pałeczki wędrują ciągle od ust jedzącego do półmisek.

Na wielkich proznych obiadach u osób zamożnych, w czasie których pan domu przyjmuje gości i mężczyźni w swoim palacu, a pani domu ugasa ich żony w swoim pawilonie, wymagane jest przez etykietę, aby gospodarz, zanim zabierze się do jedzenia, nałożył własnymi pałeczkami najlepsze kaski na talerze najbliższych sąsiadów. Jeśli uprzytomni sobie, że taki prozny obiad składa się przeciętnie z 80 dań, że przez cały czas trwania obiadu nie zmienia się pałeczek ani razu, można zrozumieć łatwo, że Europejczyk po raz pierwszy biorący udział w takiej uczcie, musi mieć wielką dar panowania nad sobą, by móc przełknąć bez drgnienia powiek owe smaczne kaski z cudzych pałeczek.

PRZY ULICZNYCH STRAGANACH

Malownicze, pociągające oko Europejczyka, wygiętą linią pagód i pałaców, ulice miast chińskich są właściwie dzienną siedzibą Chinczyka, tu bowiem upływa niemal całe jego życie.

Tu golarz obsługuje swych klientów, tam lekarz - farmaceuta załatwia pacjentów, dalej wróżbita i pisarz uliczny pracują gorliwie... A obok mnóstwo ulicznych straganów z jadem wszelkiego rodzaju, przyrządzanym na oczekaniu. Ludzie okryci potem i kurzem ugniatają ciasto brudnymi rękami, następnie gotują w parze i sprzedają. A obok straga-

północ, sprzedając po drodze żony i dzieci. Równie straszne rzeczy dzieją się, gdy przychodzi klęska posuchy, a za nią głód. Po drogach i po ulicach miast snują się wtedy widma w lachmanach, szukające wraz z gromadkami bezpańskich psów odpadków żywności w śmietnikach. Część tych nędzarzy pozostaje z nadejściem nocy na ulicach, to też w okresie zimy jest po kilkadziesiąt trupów zmarzniętych co noc. Oczyszcza się z nich tylko ulice w śródmieściu, wywożąc zwłoki w pole, gdzie leżą niegrzebane aż do wiosny. Psy rozwołują części ciał ludzkich po gościach i ulicach.

Jako naturalna konsekwencja przychodzi co rok epidemia: tyfusu, cholery i dżumy. Straszne wtedy widuje się obrazy. Oto człowiek idzie spokojnie ulicą, nagle staje. Dziwny skurcz przebiega mu twarz, straszliwie pobladła. Pada w kurczach i umiera. Przechodnie z daleka okrażają to miejsce, o parę kroków dalej powtarza się ta sama scena — to cholera. Skazanym na śmierć nikt nie poda dłoni. Najbliższa rodzina ucieka od zarazonego. Zwłoki leżą setkami niegrzebane.

Niebezpieczne są epidemie, które lud uważa za „dar nieba”, np. czarna ospa. Wierzenie ludowe głosi, że gdy choroba ta spada na człowieka, znaczy to, że jedna z bogiń obsypuje go swym „śnieżnym kwiatem”, jest to dla ludzi zaszczyt i wyróżnienie. Młuki prowadzą dziewczynki do chorych na ospę, aby i na nie spadł ów

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6).